

Adam Ziemianin

LATAWCE CEZAREGO SUFITA-POWAŁY

Jaśnie wielmożny pan Cezary Sufit-Powała nieźle grał w pokera, zwłaszcza gdy w grę wchodziły pieniądze. Gra na zapalki w ogóle go nie interesowała. Podobno w dzieciństwie, podczas chwilowej nieobecności bony, zapalił firankę w rodzinnej posiadłości, a potem i fortepian się osmolił. Z przegrzania i z wysiłku pękło mu kilka strun. Odtąd podobno młody Cezary nabrał awersji do fortepianu i muzyki fortepianowej. Przypuszczenia nasze potwierdził portier z restauracji „Jutrzenka”, który mówił nam w tajemnicy, jakoby Sufit – tak lekceważąco nazywał pana Cezarego, chyba dlatego, że nie otrzymywał od niego żadnych napiwków – dostawał szału, gdy tylko usłyszał muzykę fortepianową.

W naszym klubie „Ruchu”, gdzie najczęściej rozgrywano partie pokera z panem Cezarym w roli głównej, puszczano płyty analogowe z koncertami fortepianowymi, chcąc w ten sposób naszego arystokratę wyprowadzić z równowagi. On tylko kiwał głową z zadowoleniem i, z miną muzycznego konesera, dalej wygrywał pokerowe stawki. Stwierdzono wówczas, że portier z „Jutrzenki” wiadomości dotyczące fortepianowych fobii pana Cezarego wyssał z dłoni. I mogło to być prawdopodobne, gdyż portier Głaz nie miał żadnego palca u obu rąk. Podobno sieczkarnia w dzieciństwie to sprawiła, gdy przygotowywał karmę dla zwierząt domowych w rodzinnym gospodarstwie.

Bomba wybuchła dopiero za dwa tygodnie, kiedy to pan Cezary, w przypiływie radości i szczęścia, bo wygrywał już sporą sumkę, mimochodem opowiedział nam o swoim lokaju i zarazem błaznie – Józefie Głazie. Historia nie była à propos, lecz na tym polegał urok osobisty pana Cezarego. Okazało się, że podczas odkurzania gilotyny, którą Sufit-Powała otrzymał od przyjaciół z Paryża na swe dwudzieste urodziny, a która pamiętała jeszcze czasy Wielkiej Rewolucji Francuskiej, nagle i niespodziewanie opadło ostrze i trafiło na rękę lokaja Głaza. Zgubiła go ciekawość. Zrozumieliśmy więc, skąd wzięła się nienawiść portiera z restauracji „Jutrzenka” do naszego pana Cezarego.

Pokerowa rozgrywka toczyła się dalej pod dyktando pana Sufita-Powały, przed którym piętrzył się stos monet z podobizną Tadeusza Kościuszki. Był on zresztą dalekim krewnym miejscowego arystokraty.

– Państwo wybaczają, ale po raz pierwszy muszę skorzystać z klubowej wygodki – oznajmił wyniośle pan Cezary.

Klubowa Krystyna, która sprzedawała herbatę ekspresową w naszej placówce kulturalnej, czułym wzrokiem powiodła za Sufitem-Powałą.

– Taki to ma szczęście nawet w Polsce Ludowej – głośno o nieobecnym wyraził się krawiec Środa, licząc z rozpaczą przegrane pieniądze.

– Nie ma mu czego zazdrościć – dorzucił któryś z grających, ale nie wyjaśnił czego,

bo arystokrata właśnie nadchodził.

Pan Cezary z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku usiadł ponownie przy pokerowym stole. Dochody jego, aczkolwiek szczupłe, wystarczały mu na skromne i spokojne życie. Nawet było go stać na kupowanie od okolicznych rzeźbiarzy ludowych świątków. Takiego miał konika, nie licząc pokera.

Z dawnych lat pozostały mu wielkopańskie gesty, dlatego wszystkim napotkanym dzieciom wręczał po cukierku owocowym, a małeństwa pozdrawiały go i śpiewały o nim piosenki. Autorką tych utworów była panna Ludwisia, nauczycielka polskiego. Absolwentka Studium Nauczycielskiego układała je po nocach, wzdychając do pana Cezarego. Kosztem snu tworzyła pieśni, które, ze względu na adresata, napępniały ją szczęściem. Jedna z nich tak brzmiała:

*Gdy idzie pan Sufit
Pan Sufit-Powała
Raduje się zaraz
Okolica cała*

*Wsi spokojna – wsi wesota
Uchyl przed Powalą czota
Jak nie czota, to choć czapki
Na wspomnienie jego babki*

Istotnie, pan Cezary miał babkę, ale to nikogo nie dziwiło. Dlatego pomińmy to na razie milczeniem. Trudno natomiast pominąć fakt, że wygrywając w pokera, Sufit-Powała mścił się okrutnie na pracownikach miejscowej Spółdzielni Rolniczej, która powstała na jego gruntach rolnych. Gdy ci tylko zasiedli z nim do stołu, zdzierał z nich ostatnie spodnie, pokazując karety waletów, trójki asów, czy wreszcie zwycięskie pokery. Dlatego spółdzielcy przychodzili przeważnie w trzech parach portek, ale i to nie pomagało. Gdy nadchodziła wreszcie pora ostatniej przegranej, czyli zdzierania trzeciej pary spodni, pani Krysia przestawała parzyć herbatę ekspresową. Muzyka poważna potęgowała nastrój. Potem spółdzielcy wracali do domów bez spodni. Długo jeszcze płatali się jednak po okolicy i brali na kredyt tanie wina owocowe. Pili je po łąkach bez tych spodni.

Pan Cezary dolne części garderoby spółdzielców rozdawał chłopcom, którzy szybko robili z nich latawce olbrzymich rozmiarów. Jak dobrze poszło, to całe niebo nad naszym miasteczkiem na długo zasłonięte było tymi latawcami. Z tego, co nie nadawało się na latawce, robiono strachy na wróble. Potem burza przechodziła nad nami i powietrze znów stawało się rześkie.

Po pokerowych rozgrywkach pan Cezary kupował na odchodne butelkę piwa i z godnością opuszczał klub „Ruchu”. Piwo było przysmakiem babci pana Cezarego. Nie wiedziała, że należy je pić schłodzone, ale nawet gdyby dowiedziała się o tym przypadkiem, niewiele by to zmieniło, bo w dworku nie było lodówki. A to z winy pana Cezarego – zatwardziałego konserwatysty. Chwalił się w całej okolicy, że w jego domu nawet żelazko ma duszę. Do kościoła chodził od wielkiego dzwonu, zwłaszcza od tego

czasu, gdy wikary kupił sobie zielone auto.

– Pan Jezus mógł jeździć na osiołku, a ksiądz musi samochodem? – pytał retorycznie.

Pod koniec lata pan Cezary poczuł się bardzo zmęczony. Nawet poker go nie cieszył.

– Przed śmiercią muszę, jak tradycja rodu każe, mieć swój ostatni portret – powiedział, spoglądając na przodków.

Gdy pomysł w nim dojrzał, wziął dwa srebrne świeczniki, trochę innych kosztowności rodowych i wybrał się z nimi do dużego miasta. Na polach panoszyła się złota jesień. Dym z ognisk ścielił się po pustych polach, a on szedł i szedł przed siebie.

Dopiero z pierwszym śniegiem pan Cezary wracał do swego dworu. Nie miał świeczników, ale u jego boku dreptał drobny mężczyzna w zimowym palcie. Lekko zgarbiony, na cienkich nóżkach, dzielnie dotrzymywał kroku miejscowemu arystokracie. Jego twarz pocięta była zmarszczkami i wyrażała nieustanne zdziwienie. Nos wyrazisty i czerwony oraz wesołe oczy świadczyły o dużej sympatii do biesiadnego życia.

– Sztuka to niewysłowione i jedyne dobro, które ludzkość posiadała. Ona jest najpiękniejszym celem ludzi. Nie można żyć bez poezji, tak jak nie można żyć bez miłości, jak powiedział jeden z najbardziej wrażliwych i najciekawszych poetów pędzla i palety, Marc Chagall. I to jest piękna, wielka i ważna myśl naszego świata. Można tę świętą prawdę mistrza z Witebska przenieść i na malarstwo, i na muzykę, bo również bez nich nie sposób wyobrazić sobie życia. Czy widział pan muzyka zbrodniarza?

– Nie – odparł pan Cezary.

– I dobrze, bo nie mógł pan widzieć, skoro i ja nie widziałem. A jaki z tego wniosek? Sztuka uszlachetnia człowieka, dodaje mu skrzydeł do wyższych lotów. Każe mu przewycięzać samego siebie. Bardzo dobrze, że zdecydował się pan na ten portret i wybrał właśnie mnie. Niech pan mi wierzy! Zęby zjadłem na sztuce, a konkretnie na malarstwie. Widział pan u mnie ostatni obraz „Zasuszony motyl w garści”? Czyż nie wspaniale to obmyśliłem? Cóż za kolor, a ta kreska, czyż nie jest fascynująca? A sam pomysł? Szafa trzydrzwiowa, lekko uchylone drzwi i ta muszka, taka wyrazista, w grochy. Tu rozegrał się jakiś dramat. A czy widział pan kiedykolwiek malarza zbrodniarza?

– Owszem, widziałem! Taki choćby Eligiusz Niewiadomski. Osobiście go kiedyś poznałem. A Hitler to co? – odparł tryumfująco Cezary.

– Pan mnie nie rozumie. Mnie chodzi o malarza artystę!

– Hitler też malował!

– Ale pokoje. To był malarz pokojowy...

– Ładnie mi pokojowy, skoro taką wojnę rozpętał.

Artysta czując, że nie uda mu się dogadać z panem Cezarym, przeszedł do swoich spraw.

– Pokolenie nasze widzi sztukę inaczej, że tak powiem, przez pryzmat tradycji filtrujemy nowe spojrzenie. Widział pan szewca zbrodniarza?

– Nie zdarzyło mi się – rzekł pan Cezary.

– Musiał pan widzieć! Niech pan sobie dobrze przypomni! Pełno ich wokół nas. Niby buty szyją, a tak naprawdę bez przerwy myślą, siedząc na swych szewskich zydelkach,

jak tu kogoś palnąć w głowę szewskim młotkiem.

Dyskusja, a właściwie monolog malarza urwał się, bo właśnie wchodzili do dworu. Babcia Cezarego w saloniku przy kominku wróżyła z kart naukową przyszłość jednemu asystentowi z wyższej uczelni. W ten sposób dorabiała sobie na ulubione piwo. Żeby ułatwić życie młodszemu pracownikowi naukowemu, podała mu – za dodatkową opłatą – temat pracy doktorskiej. Magister Owsianka z radości chciał zostawić szlachetnej staruszce małego fiata, którym przyjechał, a którego otrzymał od rodziców, gdy zdał egzamin wstępny na studia.

– Nie możesz go przyjąć, droga Cecyljo, bo to, mimo wszystko, jest samochód, a znasz przecież mój negatywny stosunek do techniki i motoryzacji – autorytatywnie wypowiedział się pan Cezary.

– Skoro tak być musi, to zamiast małego fiata poproszę cię chłopcze o jeszcze jedną skrzynkę piwa. W końcu idą święta...

Następnego dnia malarz Ludwik zabrał się do pracy. Pan Cezary Sufit-Powąła pozował mu bez ruchu przez trzy godziny. Miał czas, aby wreszcie rozmyślać nad swym bogatym i ciekawym życiem. Po południu, dla odprężenia, zaproponował malarzowi spacer. Ten zgodził się chętnie, bo właśnie odkrył w sobie artystyczną żyłkę spacerowicza.

Ruszyli w stronę lasu. Gdy byli już między drzewami, pan Cezary pokazał malarzowi sidła i zasadzki, które na niego zastawili okoliczni chłopci, zamieszkali w spółdzielczych czworakach.

– Chyba pan przesadza. To raczej kłusownicy, którzy zwierzyne dziką chcą złapać, bo mięso drogie...

– Dobrze panu mówić, gdyż to nie o pana chodzi, ale to wszystko nie jest takie proste. Oto idziemy – to znaczy ja idę – do panny Zuzanny, która już dawno prosiła mnie o wymieszanie krwi. To już trzecia kobieta w tym miesiącu. Przyszła teraz taka moda, żeby rasę poprawiać, więc chyba pan rozumie, co znaczą te sidła i wilcze doły. Ale teraz mogę umrzeć, bo już nie umrę cały.

I pan Cezary odszedł z dumą do panny Zuzanny, a malarz poszedł do miejscowej gospody, gdzie też bratał się z miejscową ludnością przy piwie i wódce.

Potem, tak jak się umówili, spotkali się ponownie koło miejscowego kościoła, i razem wrócili do domu. Chwiejnym krokiem wracał tylko malarz - artysta.

Po miesiącu portret naszego arystokraty – ostatniego z rodu – był już gotowy. Podobał się pozującemu. Pan Cezary mógł więc spokojnie umrzeć.

– Trzeba wiedzieć, kiedy odejść – powiedział ostatni Mohikanin miejscowej arystokracji i godnie oddał ducha.

Na drugi świat odprowadzały go wszystkie latawce naszego miasteczka, aż ciemno było na niebie w biały dzień.